

Słyszę, jak drewno trze o ziemię.

To dźwięk, którego nie da się zapomnieć — przeciągły, chropowaty, jakby ktoś paznokciem przesuwiał po desce, która zaraz pęknie. Trumna chwieje się, kołysze, opada nierówno, zaczepiając o korzenie, o kamienie, o coś, czego nie potrafię nazwać. Słyszę, jak ziemia obsypuje się po bokach, jak wsiąka w szczeliny, jak znajduje każdą najmniejszą szparę i wchodzi do środka. Słyszę, jak wieko jęczy pod naporem tego, co zaraz mnie przykryje.

A potem cisza. Nie prawdziwa cisza — bo prawdziwa cisza nie istnieje. Jest tylko to, co zostaje, gdy odchodzą wszystkie dźwięki, które znałem. Zostaje ziemia. Zostaje drewno. Zostaje moje ciało, które zaczyna rozumieć, że jest samo.

Nie wiem, kiedy przestałem być sobą.

Może stało się to w chwili, gdy pierwszy raz poczułem, że coś we mnie pracuje — nie serce, nie płuca, nie myśl. Coś obcego. Coś, co nie pytało o zgodę. Leżałem wtedy na łóżku, wpatrzony w sufit, który zdawał się obniżyć z każdym oddechem, i nasłuchiwałem. Wewnątrz mnie toczył się proces, którego nie potrafiłem nazwać, a który jednocześnie wydawał się jedyną rzeczą naprawdę moją.

Teraz wiem, że to była śmierć. Nie ta nagła, przychodząca z zewnątrz. Ta, która rodzi się w środku i rośnie powoli, jak pleśń na chlebie zapomnianym w kącie.

Ciało pamięta więcej niż umysł.

Umysł buduje opowieści — o miłości, o sensie, o jutrze. Ciało nie kłamie. Ciało wie, że jest mięsem, że gnije, że kiedyś będzie ziemią. I to ciało zaczęło mówić do mnie językiem, którego wcześniej nie znałem.

Najpierw był zapach. Delikatny, słodkawy, jak kwiat, który przekwitł i opadł na ziemię, ale jeszcze nie zdążył wyschnąć. Potem smak — metaliczny, jak krew, którą się połknęło przez przypadek, kaszląc. Potem dotyk — skóra, która przestaje przylegać do ciała, która odchodzi płatami, jakby chciała mnie opuścić, choć nigdy mnie nie kochała.

Nie bałem się. To znaczy — bałem się, ale inaczej. Bałem się, że to się skończy. Że pewnego dnia wszystko zniknie, a ja nie zdążę powiedzieć, że jednak coś czułem.

Kochałem kiedyś.

Nie wiem, czy to jeszcze prawda, czy tylko wspomnienie wspomnienia. Pamiętam czyjeś dłonie — ciepłe, żywe, dotykające mojej twarzy tak, jakby

była czymś więcej niż tylko powierzchnią. Pamiętam głos, który wymawiał moje imię tak, że brzmiało jak coś, co warto nosić. Pamiętam zapach jej włosów — lawenda i deszcz — i to, jak zasypiałem przy niej, myśląc, że świat jednak ma sens.

A teraz leżę tutaj, w tym ciele, które już nie jest moje, i próbuję przywołać tamten zapach. Nie potrafię. Czuję tylko siebie — rozkładającego się, wilgotnego, ciężkiego. Czuję robaki, które znalazły we mnie dom. Czuję, jak coś wewnątrz mnie się rozpuszcza i spływa w dół, tam, gdzie nie ma już nic do uratowania.

To nie jest ból. Ból jest żywy. To jest coś gorszego — to jest obojętność ciała, które przestało być moim sprzymierzeńcem.

Ziemia naciska.

Nie mocno — jeszcze nie. Ale naciska. Czuję jej ciężar na wieku, na deskach, które oddzielają mnie od tego, co na zewnątrz. Czuję, jak wilgoć przesiąka przez drewno i osiada na mojej skórze — tej skórze, która już nie jest skórą, ale czymś, co przypomina mokry papier. Czuję, jak zimno wchodzi we mnie powoli, warstwa po warstwie, jakby uczyło się mojego ciała na pamięć.

Nie mogę się ruszyć. Nie dlatego, że nie chcę — po prostu nie mogę. Moje ciało przestało być narzędziem. Jest teraz czymś, co leży. Czymś, co czeka. Czymś, co powoli przestaje być czymkolwiek.

A jednak czuję. Czuję wszystko. Czuję każdą cząsteczkę ziemi, która dotyka trumny. Czuję każde ziarnko piasku, które przesuwają się po desce. Czuję ciśnienie — nie z zewnątrz, ale od środka. Coś we mnie pęcznieje, rozszerza się, napiera na kości, na skórę, na to, co jeszcze mnie trzyma w całości.

To nie jest rozkład. To jest transformacja. Przemiana w coś, czego nie potrafię nazwać, ale co czuję każdym strzępem świadomości, który jeszcze został.

Myślałem, że śmierć to moment.

Teraz wiem, że to proces. Że umiera się długo, powoli, kawałek po kawałku, i że każdy z tych kawałków odchodzi z osobna, żegnając się w swoim własnym języku. Wątroba wysyła sygnał, którego nie rozumiem. Nerki milczą. Płuca napełniają się czymś, co nie jest powietrzem. Serce — to ostatnie, co zostaje — bije coraz wolniej, coraz bardziej niepewnie, jakby pytało: czy jeszcze warto?

Nie warto. Ale bije. Bo ciało nie zna pojęcia „warto”. Ciało zna tylko trwanie.

A ja trwam. W tym ciele, które mnie zdradziło. W tym umyśle, który wciąż pamięta, choć nie powinien. W tej nicości, która nie jest ciszą, ale czymś znacznie gorszym — czymś, co nie ma już nawet nazwy.